

Ale młodzież łakoma wiadomości zagranicznych w roku 1940 zorganizowała nowe tajne radio u nauczyciela Stachurskiego. Obok Stachurskiego, chodzili tam Stanisław Reichel, Stanisław Kalinowski (podporucznik), Stafan Feryński sierżant i kapitan Dunin-Wąsowicz znany w wojsku jako znakomity strzelec. Jan Stachura dowiedział się, że Dunin Wąsowicz ma być aresztowany i ostrzegł go że ma się ukrywać. Nie wiele to pomogło, gdyż jednej nocy policja granatowa zaaresztowała uczestników słuchania tajnego radia. I wszyscy znaleźli się w Nowym Sączu w więzieniu Gestapo. Nie wszystkich jednakowo potraktowano. Nauczyciel Stachurski aresztowany zniknął, niewiadomo co się z nim stało. Reichel i Wąsowicz i Kalinowski dostali się do Oświęcimia, natomiast Feryński jak mówiono, jako groźny więzień dostał się tak mówiono do więzienia na Wiśniczu. Było to ciężkie więzienie. Sądzę, że Feryński nie zostawił Niemcom czasu na przewiezienie go do Wiśnicza. Cóż się tam stało? Feryński w odpowiednio wybranym momencie, człowiek o niestychanej sile sam, bezbronny powalił wszystkich strażników i gestapowców w tak błyskawicznym czasie, że nie mieli czasu strzelić do niego, wyłamał okno i wyskoczył z drugiego piętra na parter już za murami więzienia. Widziano go jak kulejąc uciekał i w końcu znalazł się w lesie. Rozeszła się wiadomość, że biegł tak ze złamaną nogą. Po wojnie sprawdziłem, że to nie było ścisłe, gdyż jak mi sam on opowiadał (spotykamy się co roku na uroczystościach w Szczawie) wytknął sobie kość w dolnym stawie u stopy. Kiedy z nowosądeckiego dotarł do Tymbarku, gdzie była skrzynka łącznika Inspektoratu- tam go odebrał Jan Stachura.

(12) Stachura już wcześniej ostrzeżony został przez starszego sierżanta Policji Granatowej, że Dunin Wąsowicz sypie organizację i że Gestapo przyjdzie aresztować Jana Stachurę w Szczawie /gdzie pracował jako nauczyciel/. Od tej chwili Jan Stachura przeszedł do akcji z ukrycia. Otóż gdy z Tymbarku do Szczawy miał odebrać Stefana Feryńskiego i bezpiecznie go przeprowadzić przez teren już bardzo podminowany, Feryński uparł się, że ma dość chodzenia po manowcach z opuchniętą nogą i że idzie wzdłuż drogi kolejowej ścieżką przy szynach, jak to się nazywało w gwarze miejscowych iść „sztreka”- torem kolejowym. Nic nie pomogły perswazje Jana Stachury. Co się okazało niedługo było tej wygodnej drogi bo na torze kolejowym spotkali oddział Policji niemieckiej. Tylko dzięki błyskawicznemu ukryciu się uniknęli zauważenia ze strony Niemców. Zasady Stachury było iść zawsze szlakami nie przetartymi i co więcej nigdy drogami normalnymi, a więc szczytami, grzbietami, co w praktyce okazywało się wchodzeniem na szczyt górski i schodzeniem ze szczytu górskiego, przebieganiem błyskawicznie drogi normalnie uczęszczanej w poprzek, ale zawsze po uprzednim stwierdzeniu, że droga jest wolna na przestrzeni kilku kilometrów, a nie zajęta przez Niemców czy nawet Polaków. Oddział nie mógł zostawić żadnych śladów materialnych czy optycznych, mówiących o jego przejściu. „Adam” twierdził, że ilekroć szedł gdzieś razem ze swoim przyjacielem i przełożonym, Władysławem Szczypką - czyli „Lechem”, zawsze obaj wpakowywali się w jakieś historie i cudem z nich się wydobywali. Podawał taki przykład; Idą raz o godzinie czwartej rano z Mszany Dolnej do Dobrej. „Adam” mówi „Lechowi” - „Idźmy przez Mogielnicę”- Trzeba to widzieć na mapie. Jest to dwa albo trzy razy dalej niż normalną drogą zwana „gościńcem”. Wygodny i zawsze elegancki i dbający o fason „Lech”, odpowiada: „Co będziemy chodzić przez Mogielicę... Co? Po górach?! Przejdziemy szybko przez Słomkę. W Kasinie Wielkiej mam znajomego wójta. Pójdziemy do niego, jeszcze sobie wypijemy. „Adam” odpowiada „Po wójtach chodzić nie będę, musimy przejść jak najszybciej, bo jest bardzo niebezpiecznie, nikt na nie może widzieć.” Ale „Lech” się uparł. Wchodzą drogą na Gruszowiec. Jest to droga idąca pod górę, a potem z Gruszowca schodzi droga do Dobrej. Tak więc „Lech” się uparł i idą drogą pod Gruszowiec. W czasie drogi (13) taka jest między nimi rozmowa: „Adam” mówi do „Lecha”: Jak przejdziemy tak jak Ty nas prowadzisz i nic nas nie spotka, to będziemy mieć szczęście. Bo kto widział iść drogą, w naszej sytuacji! Na to „Lech” odparł: „Bo szybciej zajdziemy!” Gdy tak podchodzą, pod górę drogi bitej i gładkiej zwanej Gruszowiec, z naprzeciwka, z tej przelęczy na drodze między dwoma górami, między Ćwilinem a Śnieżnicą zjeżdża prosto na nich auto z trzema gestapowcami i z psem tresowanym do tropienia ludzi żyjących w ukryciu, czyli partyzantów. „Lech” zbłądł i już chciał w pierwszym odruchu uciekać. „Adam” go powstrzymał i warknął jak zwierzę: „Nic, nic... chodź. . . będziemy szli jak gdyby nigdy nic, prosto na nich... Niemcy jechali drogą widoczną z daleka na przestrzeni kilku kilometrów, a przy tym dobrze się przyglądali piechurów. Druga reakcja „Lecha”: „No co? Teraz w nogi?” Na to nowy sprzeciw „Adama”- „Nie - idziemy tak jakżeśmy szli, idziemy razem dalej bez jakiegokolwiek zmiany ani widocznego odruchu”... Gdy Niemcy przejechali, a przecież mogli się zatrzymać, i znikli z horyzontu, wtedy u dwóch przyjaciół -partyzantów znowu pojawiły się dwie kontrastowe reakcje. „Lech”, po zniknięciu Niemców, w odprężeniu nerwowym, mówi: „Eh! No teraz idziemy dalej drogą” Na to nieustępliwy „Adam” odpowiada: „Jak chcesz to idź drogą”! Ja skręcam z drogi i idę koło rzeczki - krzakami.” Chcąc nie chcąc „Lech” poszedł za „Adamem” i tak bokiem przeszli ze trzy kilometry a tu nadjeżdżają drogą z Tymbarku nowe dwa wozy niemieckie... „Adama” znowu coś tknęło: „To na pewno są wezwane auta niemieckie przez poprzedników aby ująć ich partyzantów”! Tak bokiem doszli do Dobrej i natychmiast stawili się u Jana Grzywacza i Jan Ciesłaka „Macieja” na placówce łączności z Inspektoratem: Jan Grzywacz, kierownik placówki, zaniepokojony pyta: „Czy to wyście szli tą drogą? Jak żeście szli tutaj? Spotkaliście Niemców?” „Adam” odparł: „Tak, spotkaliśmy Niemców!” Grzywacz na to: „Wiemy żeście szli!” „Co się okazało? Skąd placówki łączności Inspektoratu już to wiedziały? Skoro pierwsze auto z Niemcami i z psem dotarło do Mszany Dolnej, bezzwłocznie Niemcy zatelefonowali z Mszany do Tymbarku na policję, że dwóch podejrzany typków idzie droga w

kierunku na Dobrą że należy ich ująć. Wywiad podziemny z Policji granatowej przekazał wiadomość do placówki łączności i nie wiedząc o tym, że Niemcy już uruchomili pościg nie z Policji granatowej ale z Gestapo. Tak więc podkomendny

(14) "Adam" pouczał swego szeryfa: „Widzisz Władek, Niemcy nie są frajerzy. Gdybyśmy dalej kontynuowali nasz marsz tą drogą do Dobrej, to byśmy na pewno wpadli.” Oddział "Adama" przeszedł taką selekcję i widzimy w nim szereg zmian. Początkowo dwóch przyjaciół "Adam" i "Lech" chodzą po lesie sami. Następnie się rozdzielają i każdy tworzy osobną grupkę partyzancką. Są to "Mszycyca" i "Wilk". Później oba oddziały się łączą pod kryptonimem "Wilk". Następnie "Adam" przekazuje całego "Wilka" por. Krystynowi Więckowskiemu "Zawiszy"- , i na nowo zaczyna tworzyć nowy oddział partyzancki "Mszycyca". Te kryptonimy są w archiwach Inspektoratu, natomiast dla ludności jest to dalszy ciąg oddziału "Adama". Co się okazało? Oddział "Adama" był nie tylko oddziałem partyzanckim, ale był takim oddziałem , gdzie każdorazowo prowadzona była nauka postępowania partyzanta w ściśle określonych warunkach i według założonego planu. Ludzie u "Adama" zawsze byli elementem świeżym. Ale nie tylko to, "Adam" dobierał, czy wybierał element myślący. Na skutek tego postawa każdego z nich był inna /ale odpowiedzialna/. Mówili tak: "Nie jesteśmy na to żeby ginąć, ale na to żeby robić robotę". Zatem nie by li to ludzie którzy by zrobili robotę automatycznie. Mieli rozum inteligencki i musieli widzieć i nabrać przekonania, że w chwili gdy wychodzą na robotę, mają co najmniej 70% szansy do zrobienia tej roboty.

Inaczej taki partyzant mógł powiedzieć, że dowódca nie jest na poziomie. Innym słowem każda robota, musiała być przemyślana i przeszkolona i wdrożona, czyli udana w ćwiczeniu i udana w wykonaniu. Dlatego oddział ciągle był w pracy partyzanckiej i z tej pracy nie wychodził - pracy szkolenia i wdrażania. Dzięki temu oddział "Adama" na przestrzeni wszystkich akcji miał tylko dwóch zabitych. W tym dwóch żołnierzy a stało się to na skutek niezastosowania nakazanej praktyki partyzanckiej np. na skutek posuwania się środkiem korytarza, a nie przy ścianie, albo na skutek niezabezpieczenia na zakręcie drogi w czasie takiej roboty partyzanckiej, która odbywała się w środkowym odcinku drogi prostej. W obu przypadkach nic nie pomogła ani odwaga ani zapal. W pierwszym wypadku Walczak z Olszówki dwudziestoletni chłopak dostał postrzał w brzuch w czasie zdobywania magazynu niemieckiego w Zarytm. W drugim - bardzo zdolny i niezrównany „Kominiarz” z Rabki zginął po rozbrojeniu auta niemieckiego /u Marków nad Rabą/ z ręki nadjeżdżającego patrolu niemieckiego od strony Mszany Dolnej. Specjalnie pracowano nad wyrobieniem bystrości spojrzenia na rzeczywistość ale również nad wyrobieniem wycucia i odczucia zamiarów przeciwnika. Były to długie ćwiczenia i dążyły do wyrobieni niejako szóstego czy nawet siódmego zmysłu, co często nazywano językiem potocznym : "On ma szczęście". Dowódca który miał "szczęście" był bardzo szanowany i uwielbiany przez swych podkomendnych. Do takich należał "Adam", a właściwość tego dowódcy polegała na tym, że wstawiał się zawsze w psychologię przeciwnika to znaczy jakby on sam wykonał dany manewr, gdyby był na miejscu przeciwnika i miał zwalczyć swój własny oddział. Dzięki temu nigdy też nie wpadł w żadną zasadzkę niemiecką i w TAKIEJ właśnie chwili odwracał nagle kierunek drogi do przebycia i ku ogólnemu zdumieniu atakował później założoną na niego zasadzkę. Był podejrzewany przez swych podkomendnych, że jest obdarzony pewnego rodzaju telepatią, wycuciem zwierzęcym sygnalizującym grożące niebezpieczeństwo. A to niebezpieczeństwo częstokrotnie czyhało albo w samym obozie partyzanckim albo na przebywanej drodze nie zawsze w czasie akcji. Między partyzantami utarło się powiedzenie, że z dwóch szczerych i bliskich przyjaciół, jeden tj. Władysław Szczypka Stawny „Lech”, dowódca Obwodu Limanowskiego i założyciel oddziału partyzanckiego pod kryptonimem "Wilk" miał zawsze „pecha” z którego dotąd wychodził cało - aż padł trupem we własnym obozie partyzanckim. O czym zaraz opowiem.

Drugi tj. Jan Stachura , stawny „Adam” wyczuwał nosem grożące niebezpieczeństwo tak dla swojego szefa „Lecha”, dla siebie i oddziału, że wzbudzał nie tylko podziw i zadowolenie ale i pewnego rodzaju wyższość komendanta, ale również i zazdrość innych dowódców, a w pewnej chwili i samego „Lecha”. Doszło nawet do tego , że "Adama" poddawano pod pewnego rodzaju kontrolę przełożonych, z czym „Adam” się nie zawsze godził, - i jak mówi archiwista Inspektoratu "słusznie" nie chciał być stale „zastępcą dowódcy oddziału. Zażądał w pewnym momencie stopnia „głównego dowódcy oddziału” na własnego oddziału „na nowo” zorganizowanego. Kim był „Adam” jako dowódca partyzantów, świadczy wypadek, w którym odegrał rolę, wyjątkową już po demobilizacji oddziału w roku 1945 na Luboniu a administracyjnie w Limanowej. „Adam” czuł, że ta demobilizacja jest manewrem bo aresztowania zaczęły się mnożyć i ludzie aresztowani przez NKWD zaczęli znikać. Wobec tego nie pokazywał się w życiu publicznym żeby za bardzo nie wystawiać się na widok publiczny. Ale kiedy do rodziny „Adama” przyszło zapewnienie dowódców partyzantki sowieckiej, że nic mu nikt nie zrobi, wtedy przyszło zaproszenie na rozmowę do władz rosyjskich. "Adam" utrzymywał bardzo przyjazne stosunki z dowódcami Petrem, Aloszą i Zolotarem- „Iwanem” partyzantki sowieckiej i wielokrotnie pomagali sobie wzajemnie w trudnościach w walce z Niemcami. Licząc na tę przyjaźń z partyzantami sowieckimi zdecydował się przyjąć zaproszenie. Co się okazało? Jako zdemobilizowany dowódca partyzantów AK dostał propozycję współpracy dla Rosji Sowieckiej, jako wypróbowany żołnierz i oficer. "Adam" wówczas odpowiedział, że jest związany przysięgą żołnierską w wojsku polskim i że samodzielnie tej propozycji przejąć nie może. Natychmiast został aresztowany przez NKWD, odbyto nad

nim Sąd po którym mu dano do wybór albo współpraca dla Rosji Sowieckiej, albo kara najwyższa, to znaczy 14 lat zesłania do obozu na Syberii. „Adam” się nie cofnął. Wówczas umieszczono go w więzieniu po gestapowskim w Wadowicach i zamknięto go razem z szesnastoma więźniami, takimi jak on i był tam również jeden marynarz. To wszystko odbyło się niedługo przed Bożym Narodzeniem w 1945 roku. Jako doświadczony partyzant, obdarzony tym bystrym i przenikliwym spojrzeniem na rzeczywistość, „Adam” z miejsca zabrał się do rozeznania sytuacji topograficznej więzienia, od piwnic, do podwórza, z murami najeżonymi kolcami, wszystkich pięter i osobnego specjalnego budynku zamienionego na kaplicę czy kościół pozostający w opuszczeniu- opracował i opanował pamięciowo wszystkie możliwe przejścia z ilością kroków i czasu, znalazł równie jakąś drabinę . Zbadał również konstrukcję drzwi elektrycznych, które się zamykały i otwierały automatycznie stwierdził, że te drzwi można rozrębować w ostatnim momencie, przy odpowiednich narzędziach. W sprawie narzędzi porozumiał się ze swoją rodziną i żoną, bo tuż ku końcowi wojny ożenił się z Kazimierą Sobieską i ona po ucieczce z obozu koncentracyjnego żyła w Mszanie Dolnej. Ślubu im udzielił przy ołtarzu partyzanckim kapelan partyzantów „Adama”, ksiądz Józef Kochan wikary z Rabki, ten sam który po wojnie był jednym z księży Polskiej Misji Katolickiej w Belgii. Otóż „Adam” w ostatniej chwili to znaczy tuż przed wybraną datą ucieczki z więzienia, ujawnił swój plan współtowarzyszom celi. Wszyscy szesnastu z celi opowiedzieli się za ucieczką. Jeden marynarz opowiedział się za pozostaniem w celi. Wyznaczono ucieczkę na dzień Święta Bożego Narodzenia. Bo Rosjanom zwieziono duże ilości alkoholu i jedzenia. Gdy wieczorem cała straż więzienia była pijana i nie zdolna do bystrych i szybkich- refleksji, wtedy „Adam” przy pomocy zdolnych mechaników odkręcili i rozkręcili drzwi celi, wszystkich wyprowadził nie od razu na podwórze, bo trzeba by było przechodzić koło wartowni wjazdowej do więzienia, ale najpierw wyprowadził na ostatnie piętro skąd dostali się na strych, na tym strychu znaleźli drabinę, która im się przydała do zejścia na chór kaplicy przez otwór w suficie oraz zabrali ze sobą ze strychu materac, który był konieczny do założenia na mury podwórca zabezpieczone kolcami przed więźniami, na wypadek próby ucieczki. Z kaplicy znajdujące się na uboczu podwórca udało im się przejść do suterenu czy piwnicy, skąd przez odpowiednie okienko wyważone wszyscy wyszli po ciemku gęsiego na podwórze, skąd wzdłuż ścian doszli do muru więziennego. Po drabinie i przerzuceniu materaca na kolce sterczące na szczycie muru, więźniowie przeskoczyli przez mur na ulicę i dalej we mgle zniknęli w ciemnościach nocy. W czasie ucieczki z dali słychać było pijackie śpiewy oficerów i żołnierzy NKWD. Na następny dzień urządzono w Wadowicach poszukiwanie za zbiegłymi więźniami, których ostatecznie nie odnaleziono. O losach pozostałego w celi marynarza nic nie wiadomo. „Adam” doszedł do rodziny, która otrzymała dwa miejsca i dokumenty francuskie w ostatnim transporcie byłych jeńców wojennych z armii francuskiej, przebywających na terytorium Polski, - transporcie organizowanym przez konsulat francuski. Tym transportem przejechali Czechy i dostali się do strony okupacyjnej alianckiej, stąd przedostali się do Dywizji Pancerniej Maczka, w której służył brat „Adama” Władysław Stachura.

(10) Był to ostatni transport, który nie wpadł w ręce NKWD. Następne już wpadały. Oczywiście można powiedzieć że „Adam” był człowiekiem, który miał „szczęście”. Przede wszystkim nigdy nie tracił głowy. Miał chłopski rozsądek i rzeczywistość układała mu w myśli nie jako jakąś fantazja i przypuszczenia, ale zawsze z biegiem wydarzeń możliwych i najbardziej prawdopodobnych. Wybierał najbardziej prawdopodobne i układał w panoramę rzeczywistości, która się w kilka chwil później sprawdzała. I tu trzeba powiedzieć, że od początku tak nie było.